

Straszne dzieci

15 marca 2013

ROZWÓJ KULTURY INDYWIDUALNEJ

Dobrze jest czasem zsiąść z wielkiego konia abstrakcji i syntez i z lupą w ręce popatrzeć, jak się tam na dole buduje Polskę z kamyczków dobrej woli, idealizmu i zapału.

Wakacje uniwersyteckie spędzone w Kongresówce dały mi możliwość takiej obserwacji. Jak zwykle, tak i tym razem zrażony byłem z początku sceptycyzmem i lekceważeniem, z jakim na głuchej prowincji spotykają się wielkie plany naprawy finansów, oszczędności, sanacji życia gospodarczego, którym z zapałem przyklaskujemy z naszej wysoko nad życiem zawieszanej galerii. „To wszystko nie pomoże! To nie jest rzecz do przerobienia w ciągu kilku miesięcy! Tu trzeba zmienić psychologię społeczeństwa... zło wrosło nam w krew!”

Mój gospodarz był człowiekiem inteligentnym, młodym i zdrowym. Nie mogłem jego kwaśnego humoru przypisać mankamentom żołądkowo-wątrobianym. Był człowiekiem przedsiębiorczym, który miał w życiu powodzenie. Tym bardziej dawał mi jego pesymizm do myślenia. Zacząłem go przyciskać do muru.

– Popatrz, co się dzieje tu u nas z pieniędzmi wyciskanymi z podatników – wybuchnął. – Przypatrz się „twórczości” samorządów powiatowych!

Tego mi właśnie było potrzeba. Wydobyliśmy z szuflady budżet sejmikowy i zaczęliśmy się w nim rozczytywać.

Prawdziwy poemat: miłosierdzie, oświata, kultura. Widać jak na dłoni gorejące serca, zapalne głowy, wolę pełną rozmachu i łątwą, o! bardzo łątwą decyzję. Powiat 0... to będzie wkrótce coś pośredniego pomiędzy Holandią a rajem... jeśli sejmik zdoła przeprowadzić swoje podniosłe projekty.

Bo popatrzcie tylko na wydajną pracę pełnych poświęcenia działaczy.

Sejmik (jak Pan Bóg przykazał) utrzymuje schronisko dla kalek, w schronisku tym mieszka czternastu pensjonariuszy. Że to są ludzie śmiertelni (jak w ogóle), a ponadto słabego zdrowia – więc zdarza się rok w rok, że jedna lub dwie osoby z tego grona przenoszą się do wieczności. Sejmik chce wobec świata pokazać, że dogodzić potrafi także i nieboszczykom. Długo myśleli miejscowi działacze, czym zadokumentować swój szacunek dla zmarłych – aż znaleźli. Postanowili wybudować kostnicę. Nic to, że w tej wsi jest kaplica, w której nieboszczyk wygodnie mógłby się doczekać pogrzebu, nic to, że ludzie w tej wsi umierali od pięciu wieków bez takich wygód. Trzeba rozszerzać kulturę. Wybudowano kostnicę jak się należy. Otwiera się ją raz na rok, więc pewnie wieki przetrwa ten pomnik cywilizacji i humanitaryzmu. Dach tylko wypadnie od czasu do czasu poprawić – znajdą się na to pieniądze. Uchwały o „dodatku” samorządowym nigdy jeszcze nie odrzucono.

Nie zapominają jednak działacze i o żywych. Myślą i radzą, czym by ich uszczęśliwić. Nadarzyła się właśnie okazja.

W powiecie jest jedno z wielu bankrutujących latyfundiów polskich. Sekwestrator opieczętował meble i powozy, sztachety „rozebrali” sąsiedzi, park zarósł pokrzywami. Co niedziela posypują go spacerowicze z sąsiedniego miasteczka papierkami z pomarańczy i cukierków. Dach pałacu zacieka i tynk odpada tu i ówdzie. Jakże krzepiący widok dla demokratycznego oka, ile nadziei dla demokratycznych serc. Nadzieje wcale usprawiedliwione: zrozpaczony właściciel postanowił sprzedać rezydencję. Ziemi już nie ma, pozostaną mu lasy. Pałacysko jest ogromne, dwupiętrowe. Do tego dependencje, zabudowania gospodarcze, park, trzydzieści morgów ziemi. Czy może być coś bardziej ponętnego dla naszych „kulturträgerów”?

Sejmik uchwała kupienie tego kompleksu. Kosztować to będzie bagatelkę, trzysta tysięcy złotych! Prawda, trzeba będzie

trochę remontu, adaptacji. Nie wyniosą one więcej niż sto pięćdziesiąt tysięcy. Państwo da pożyczkę, reszta pójdzie jak po maśle. W pałacu umieści się szkołę rolniczo-ogrodniczą dla synów włościańskich.

Zapał był do projektu ogromny. Dwaj opozycjoniści, „gasciele oświaty” – obszarnik i aptekarz endek – byliby przegrali sprawę, gdyby nie to, że jakoś z kredytami państwowymi się nie udało. A szkoda! Wprawdzie o trzydzieści kilometrów od owej rezydencji jest już szkoła rolniczo-ogrodnicza. Wprawdzie nie ma ona zbyt wielkiego powodzenia, bo kształci się w niej na chwałę Ojczyzny raptem sześciu czy siedmiu specjalistów, więc zapewne i ta nowa projektowana szkoła zbyt wielu kandydatów by nie znalazła, ale byłby w ten sposób przybył jeszcze jeden pomnik pracy kulturalno-społecznej naszych dzielnych działaczy.

W parę dni później znalazłem się na terytorium innego sejmiku. Tutaj zastałem sytuację zgoła odmienną. Można powiedzieć: wprost odwrotną. Ten właśnie sejmik doszedł już do takiej wytrawności, że nie chce pałacu. Ma, ale nie chce! W stolicy powiatu znajduje się ogromna i wspaniała, choć brzydka rezydencja pozostała po skonfiskowanej przez rząd polski dużej rosyjskiej donacji. Znowu pałac dwupiętrowy z oficynami, zawierający przynajmniej czterdzieści pokoi. Od wybuchu Polski usadowiło się tam gimnazjum utrzymywane przez sejmik. Po kilku latach doświadczeń działacze i pedagodzy miejscowi doszli do przekonania, że gmach nie odpowiada wskazaniom nowoczesnej pedagogiki, higieny itp., itp. (brak systemu korytarzowego), i postanowili... budować nowy budynek dla szkoły.

Tak to jedna idea różne przybiera formy. Zaiste, „wart pałac Paca, a Pac pałaca”!

Czy mam jeszcze opowiadać dalsze szczegóły, czy mam się rozwódzić nad zapomogami „dla organizacji rolniczych”, które po cichu i pod stołem koncentrują się w kasach partyjnych? Czy warto podnosić, że pan inżynier drogowy poczuł gwałtowną

potrzebę jeżdżenia samochodem, a ze względu na powagę sejmiku kupiono mu, zamiast niepowabnego forda, fiata za dziewięć tysięcy złotych? Czy kogo zdziwi, że tak gorliwie pracujący dla dobra Ojczyzny członkowie sejmiku wyznaczają sobie za posiedzenia diety równe dietom starosty?

Zamiast się gubić w tych szczegółach, przyjrzyjmy się jeszcze dwom rzeczom: jak wygląda administracja pod względem składu urzędników i jak się ta gospodarka odbija na podatniku.

W urzędników zaopatrzony jest sejmik 0... bogato. Od VIII klasy płacy w górę jest ich w sejmiku dwunastu. Pięciu spośród nich pobiera uposażenie VI klasy. Pięciu pułkowników! W klasie VII i w klasie VIII jest po dwóch urzędników bez wykształcenia średniego. Zaawansowani zostali, jak mówi odnośna uchwała, „za zasługi”.

A rezultat tej zabawy w podatkach? Według ścisłego obliczenia podatki samorządów powiatowego i gminnego w roku 1924/25 miały się w stosunku do podatków państwowych jak 130 do 100 (wyłączam podatek majątkowy). Przed wojną opłacał majątek mojego znajomego z morga około jednego rubla, w roku 1924/25 zapłacił razem z podatkiem majątkowym dwadzieścia złotych z morga, bez podatku majątkowego około dziewięciu złotych z morga.

Trudno się dziwić, że wzrasta wprawdzie kultura duchowa, ale upada materialna.

A może to i dobrze myśli polski „idealista”: ja „was, zjadaczy chleba, w anioły przerobię”.

BEZPIECZEŃSTWO, HIGIENA I KOMFORT W POLSKIM PODWÓRZU

Inny mój znajomy cieszy się (nie bardzo się co prawda cieszy) gorliwą opieką władz wojewódzkich.

W majątku, którym gospodaruje, puścił w ruch mały „gospodarczy” młyn motorowy. Dla rewizji urządzenia zjechała

komisja z województwa złożona z trzech urzędników, ludzi światowych i humanitarnych. Każdy rozpatrywał rzecz z innej strony. Znaczący techniczny oświadczył, że komora, w której umieszczono motor, musi być cała (podłoga, ściany i sufit) wybita blachą. Niemiła niespodzianka dla właściciela. Targ w targ, po dłuższej dyskusji i zmierzeniu trzech rozciągłości komory – udało mu się tej przyjemności uniknąć.

Drugi znawca komisji zainteresował się bezpieczeństwem „pracowników” młyna (tych pracowników jest trzech, należy o tym pamiętać). Młyn jest, jak zresztą z reguły bywa, piętrowy. Wewnątrz były schody – drewniane. „Ta komunikacja nie wystarcza, musi pan dobudować zewnętrzne schody murowane i cementowane”. Nie pomogły żadne demonstracje. Mój znajomy ofiarowywał się w oczach komisji wyskoczyć z owego pięterka na ziemię, wszystko daremnie. Schody być muszą!

Trzeci znawca (od higieny i komfortu) pod koniec wizytacji zaczął się niespokojnie rozglądać: „a gdzie, proszę szanownego pana, biedni ludzie umyją sobie ręce – gdyby tak chcieli?”. Mój znajomy jest przyziemnym realistą: „Wisła płynie o pięćdziesiąt kroków stąd, panie radco – odpowiedział. – Nie będę im bronił przystępu”. „A gdyby tak... inna potrzeba?” Na to pytanie nie był przygotowany. Zapadło kłopotliwe milczenie... Ale los przyszedł mu z pomocą. O dziesięć kroków od młyna stoi domek administracyjny od dawna niezamieszkały, który posiada potrzebne urządzenia. „A ot tam, w tym domku” – pokazał palcem. „To nie wystarcza, proszę pana, to musi być specjalnie dla pracowników młyna. Takie są przepisy. Także i położenie nie jest obojętne. Według przepisów musi być taki budynek o pięćdziesiąt metrów na północ od „zakładu przemysłowego”. My tu panu przyślemy budowniczego – robi plany”.

Decyzja była nieodwołalna. Bez tych udoskonaleń nie pozwolą młyna puścić. Mój znajomy ruszył ramionami, a kulturträgerzy pojechali. W parę dni potem zjechał budowniczy, pracował cały dzień i zrobił plany.

Widziałem owoc jego pracy. Plan składa się z czterech podklejonych na płótno kartonów, razem przeszło metrowej długości. Na pierwszym planie sytuacyjnym oznaczono kolorem zielonym lasy, żółtym pola, szarym drogi i podwórza, czerwono odcinają się równoległoboki zabudowań gospodarczych, niebieską wstęgą przewija się z boku Wisła. Drugi plan przedstawia podwórze w większej skali. Tu już można dojrzeć także i projektowany budynek. Czwarty i piąty rysunek pokazuje nam ogniotrwałe schody w rzucie i w profilu; szósty, siódmy i ósmy poświęcone są konstrukcji dyskretnego ustronia. Mamy znów jego rzut, jego profil i jego fasadę. Nie ma co, projekt jest ładny. Dół cementowany, dwa oddziały. Nie ma wątpliwości, że podniesie to wygląd okolicy.

Wszystkie te rysunki objaśnione napisami o typie lekko zmodernizowanego empire'u. Mam słabość do takich starannych, wykończonych planów. W naturze to nigdy tak ładnie i czysto nie wygląda. Bardzo mi się to podobało. Memu gospodarzowi mniej. Grały tu rolę pobudki egoistyczne. Zapłacił za ten plan trzysta złotych. Uważał, że to dużo. Nie jestem tego zdania: plan był zrobiony w trzech egzemplarzach (drugi został w województwie, a trzeci jeszcze gdzieś zawędrował)...

Schody wybudowano. Komisja je obejrzała, uznała je za dobre, mój znajomy po odjeździe komisji zabił je gwoździami, żeby mu kto tamtędy mąki nie wynosił – słowem: można rzecz uważać za zakończoną.

Sprawa „komfortu” jeszcze się wlecze. Po dobrym obiedzie uzyskał mój znajomy zgodę na to, że nowa budowa zastąpiona będzie przez afisz, przyklejony na domku administracyjnym, z napisem, że „ta ubikacja przeznaczona jest wyłącznie dla użytku pracowników młyna”. Nie zapominajmy, że tych pracowników jest trzech. Obiecał solennie komisji, że to zrobi, ale nie zrobił, bo uważa, że to poderwie jego autorytet wobec „pracowników”.

Toteż co tydzień zgłasza się policjant i śmiejąc się w kułak

zapytuje z urzędu, czy wiadome roboty są już ukończone. Dostaje na to odpowiedź, że „roboty są w toku”.

* * *

Może się to wydać zabawne. W każdym nonsensie z pretensją do powagi jest pierwiastek komizmu. Ale jeżeli to potrwa dłużej, to zacznie być niewesołe. „Straszne dzieci” pokryją Polskę nieuczęszczanymi szkołami, kostnicami, „tualetami”, ale warsztaty produkcji będą się rok po roku kruszyć i rozwalać.

Ostatnia chwila naprawdę, żeby się wzięli do rzeczy ludzie dorośli.

Autor: Adam Heydel

Źródło oryginalne: „Czas” nr 16/17 z 1926 r.

Źródło wtórne: [Instytut Misesa](#)